Rok XXXIX Niedziela 20 listopada 1932 Należytość pocztową opłacono ryczałtem. Nr. 47

GAZETA KOŚCIELNA

TYGODNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM KOŚCIELNYM

Prenumerata: Całoroczna 24 zł., — kwartalna 6 zł., miesięczna 2 zł. Zagranicą 30 zł. Numer poj. 50 gr.
Cena ogłoszeń: Cała strona 110 zł., drobne po 60 gr. od wiersza petitu.

ORGAN STOWARZYSZEŃ KAPŁAŃSKICH W POLSCE.
Własność Tow. Wzajemnej Pomocy Kapłanów we Lwowie.
Redagują: X. Dr. Aleksander Pechnik i X. Franciszek Błotnicki.

Redakcja i Administracja: ul. Zygmuntowska 4. Tel. 24-61.
Konto czekowe P. K. O. Warszawa Nr. 151.755.
Rękopisów nie zwraca się.

Crux confessariorum
(Dopisek).

„There are more things in heaven and earth, Horatio,
than are dreamt of in your philosophy".
[Więcej jest rzeczy w niebie i na ziemi, Horatio, — niż się o nich śniło w twojej filozofji].
(Hamlet, ostatni djalog I-go aktu).

Miałem już przygotowany tekst mego dopisku, gdy ukazał się artykuł wstępny „Gaz. Kość." z dnia 16/X, podpisany *Simplex*. Ponieważ autor artykułu wskazał w odsyłaczu także na moje wywody w nrze 33-cim „G. K.", nie mogłem w przypisku pominąć go milczeniem. Więc przeczytałem uważnie cały artykuł i znalazłem w nim najpierw nakreślenie prawdziwego obrazu moralnej anarchji, ogarniającej umysły współczesne w dziedzinie etyki seksualnej. Następnie wezwanie do przeciwdziałania tej pladze przez uświadomienie, oparte na intelektualnem opanowaniu odnośnych problemów. Dalej, autor, wchodząc w szczegóły programu, który chce przeciwstawić ideologji wrogiego obozu, wskazuje na 3 tezy propagowane przez ten ostatni i pragnie je zbić 3 antytezami katolickiego światopoglądu. Tezy te są: 1) możliwość przeludnienia naszej planety, 2) materjalizm i hedonizm, 3) relatywizm etyczny. Antytezy więc będą: 3) absolutne znaczenie norm etycznych, 2) spirytualizm i eudajmonizm chrześcijański — wreszcie 1) niemożliwość przeludnienia ziemi. — Tezy 2) i 3) musi każdy chrześcijanin potępić, antytezy zaś 3) i 2) wyznawać i nie zdaje mi się, żeby ich odświeżenie w pamięci czytelnika było celem artykułu. Pozostaje teza i antyteza 1) do rozpatrzenia. I tu już autor nie hamuje swego pióra: kto nie jest z nim, ten jest przeciw wierze, bo Chrystus powiedział: „nie troskajcie się, co będziecie jedli" (Mat. 6, 25). A dalej po słowach ew. św. Jana: „W domu Ojca jest mieszkania wiele", dodaje autor: „więc albo się wierzy, albo się nie wierzy". Autor sam tak jest pewny swej wiary, że nie waha się zaręczyć: „z pewnością ziemia pomieści nawet 10 razy tyle ludności, ile jej jest teraz". Wreszcie, przechodząc do trudności konkretnych, domaga się, by najpierw głosić Słowo Pańskie: „nie troszczcie się zbytnio", a dopiero potem mówić „o różnych Konzip-Kalender'ach", bo... „praktyka wstrzemięźliwości jest moralnie dobra i choćby to miało doprowadzić do stopniowego spadku liczby ludzi na świecie, pozostałaby dobrą, bo uszlachetnia i podnosi naturę ludzką". — Tyle rzeczony artykuł.

Przeczytawszy go z zainteresowaniem i z głębokiem uznaniem dla ducha wiary, jaki zeń bije, musiałem jednak zadać sobie wkońcu pytanie: czego chciał autor? I muszę wyznać, że tego nie jestem pewny. Czy chciał powiedzieć: *„ceterum censeo dogma Divinae Providentiae credendum esse* lub też *praedicandum esse?* — Ale w takim razie poco mówić o przeludnieniu ziemi i o dobroci wstrzemięźliwości? — Czy też chciał postawić tezę dogmatyczną: jest prawdą wiary, że ziemia nigdy nie będzie przeludniona? — Czy wreszcie chodziło mu o tezę moralną obowiązku małżonków, by tyle mieli dzieci, na ile im prawa fizjologji i czas pozwolą? — To ostatnie oczywiście nie, bo sam autor skądinąd pochwalił wstrzemięźliwość, i to, jak z kontekstu wynika, w małżeństwie nawet za cenę obniżenia liczebności mieszkańców naszej planety. Zostaje więc teza środkowa: jeśli się zastosuje prawdziwą etykę społeczną, ziemia nie może być przeludniona — to jest zasadą z wiary zaczerpniętą, którą trzeba głosić najpierw, a potem zajmować się *„Konzip-Kalendar*'ami.

Otóż tezy tej autora nie mogę przyjąć i postaram się wyłuszczyć, dlaczego. Najpierw teza powyższa nie jest *formaliter revelata* ani *explicite* — w tychże samych słowach — ani *implicite* — w słowach wprawdzie innych ale równoznacznych, wymagających tylko wyjaśnienia terminów słownego. Mogłaby więc być tylko *virtualiter revelata,* t. j. mieścić się w pewnych przesłankach objawionych, z których przez wyjaśnienie rzeczowe z metafizyczną koniecznością wynika. Gdyby tak było, stanowiłaby tylko konkluzję teologiczną, która nigdy do czasu definicji dogmatycznej nie może być przedmiotem wiary. (Por. Marin-Sola: „Evolution ho-

mogène du dogme catholique" Paris 1924, tom. I, nr. 118 i nn.). Ale w żadnym razie nie tkwi w tekstach zacytowanych przez autora. Tekst św. Jana 14, 2 jest *non ad rem* i nikt nie myśli w polityce ludnościowej kierować się obawą, że w niebie zabraknie miejsca, tylko braknie go na ziemi! Tekst zaś z kazania na górze, jak nie zabrania pracować na chleb codzienny, tak też nie zabrania przezorności: „byłoby to przewrotną egzegezą wysnuwać z tego tekstu pogardę przezorności" (Lebreton „La vie et l'enseignement de Jésus Christ" Paris 1931, tom I, p. 238). Jak długo więc autor nie znajdzie w Piśmie św. lub Tradycji pewniejszych dowodów dla swej tezy, tak długo nie może żądać, by ją przyjęto jako prawdę wiary. Owszem musi innym zostawić wolność traktowania jej jako zagadnienia wiedzy naturalnej czy przyrodniczej czy ekonomicznej. A we własnem imieniu pozwolę sobie wyrazić pewną wątpliwość, czy którakolwiek nauka wzięłaby na się ochoczo odpowiedzialność za proroctwo, czy może nastąpić przeludnienie ziemi, czy też nie.

Zajmowanie się tem zagadnieniem muszę uważać za zupełnie oderwane od życia, bo *posito*, że *de iure* zastosowanie chrześcijańskiej etyki społecznej pozwoliłoby na pomnożenie 10-krotne ludności ziemi, przecież *de facto* nigdy ten wypadek nie zajdzie, bo Chrystus powiedział: „ubogich zawsze mieć będziecie", bo On trzeźwo się liczył z upadłą naturą ludzką i mówił: „jeśli wy, którzy źli jesteście...", bo egoizm ludzki zawsze stanie w drodze idealnemu ustrojowi społecznemu i choć, nie licząc się z tym oporem, mamy dążyć do tego celu całą siłą naszych duchowych i materjalnych zasobów, nie możemy jednak moralnych norm na dziś opierać na ustroju fikcyjnym, którego niema i może nigdy nie będzie.

Sam autor wspomina o konkretnych trudnościach, ale jakże to oględnie czyni. Jakby nie wiedział o zastraszającej liczbie poronień, o których czasem wie ksiądz, a czasem pielęgniarka z „ośrodka zdrowia" lub osoba z tow. dobrocz., odwiedzająca sutereny, gdzie w jednej izbie mieszka po parę rodzin. Trzeba nie wiedzieć lub nie chcieć wiedzieć o tem, co się dzieje wszędzie, nie tylko w dużych miastach i miasteczkach, i na prowincji, by z samem tylko współczuciem przechodzić nad tą nędzą ludzką do swej teorji. Niech autor sam się zapozna z tą nędzą suterenową i niech się przekona, jakie szanse ma jego teza o nieprzeludnieniu ziemi do ugruntowania moralnego nakazu poszanowania już kiełkującego życia. Wtedy zamiast mówić z przekąsem o *Konzip-Kalender*'ach, — pierwszy będzie szukał w zbadaniu praw przyrody, nadanych jej przez Stwórcę, światła dla siebie w głoszeniu innym ich powinności moralnej. Bo tu tkwi cały błąd argumentacji: jak dla współczesnych Galileusza prawem Bożem była tylko modlitwa Jozuego, zatrzymująca słońce, tak dla szan. autora jedynem prawem Bożem jest Opatrzność — tymczasem jak się okazało, że obok modlitwy Jozuego jest miejsce i na obrót ziemi, tak obok Opatrzności jest miejsce i na prawo natury, które ta Opatrzność ustanowiła na to, by człowiek, zapoznawszy się z niem, kierował się niem roztropnie. Gdyby małżonkowie jedynie dla własnej wygody używali praw małżeńskich, unikając potomstwa wedle metody Ogino-Knaus'a, to z pewnością postępowanie ich byłoby naganne. Nie grzeszyliby przeciw czystości, ale grzeszeliby egoizmem, w jakiej zaś mierze, to nas tu nie obchodzi. Ale gdy istnieją poważne racje natury materjalnej czy zdrowotnej, by nie pomnażać rodziny, unikanie potomstwa w sposób moralnie poprawny jest dozwolone, a więc dobre. (Niema czynów *in concreto* obojętnych moralnie). Skoro zaś warunki takie u ubogich i niewykształconych często zachodzą, to co lepiej, pytam: czy milcząc czekać, aż żona zaszedłszy znów w ciążę, przerwie ją, kalając swe sumienie zbrodnią i narażając się na śmierć, a więc może na potępienie — czy też, dowiedziawszy się o praktykach anty-konceptualnych, zapobiec owemu niebezpieczeństwu, a jednocześnie kres położyć temu nadużyciu, wskazując poprostu na odkrycia Ogino-Knaus'a? Piszę to tem śmielej, że po moim poprzednim artykule, odkryłem te same konkluzje w pracy insbruckiego profesora Schmitt'a S. J. w „Zeitschrift für kathol. Theol." 1932, 3. p. 416 nn. Mając za sobą następcę Noldin'a, mogę być spokojny, że nie myślę herezji. — I to miało być treścią mego dopisku. Ale miałem jeszcze inną wiadomość dla moich Czytelników: oto X. Dyrektor Bross powierzył tłumaczenie pracy Smulders'a „Periodische Enthaltung in der Ehe" na język polski kompetentnej sile i spodziewa się wkrótce rozpocząć druk tego przekładu. Wobec tego kończę swój dopisek gorącem wezwaniem: Księże Dyrektorze, spieszcie się!

Horodenka. *X. Adam Bogdanowicz.*

O przejście do ofensywy

W czasach dzisiejszego zepsucia moralnego i coraz zuchwalszych ataków na Kościół i jego naukę ze strony różnych bezbożników i wolnomyślicieli — nie brak przecież objawów pocieszających, które świadczą, że sumienie katolickie w naszem społeczeństwie się budzi, że głosy przestrogi Namiestnika Chrystusowego znajdują u nas dość silny oddźwięk. Słyszymy dzisiaj nawoływania do „wojny świętej, do krucjaty i walki z duchem zatrutym", — czy wreszcie do pewnego „rozmachu apostolskiego", który tak dosadnie nazywa X. Machay „szlachetną bezczelnością"[1]). Dość często także obija się o uszy nasze ten apel stanowczy: „Musimy wyjść ze stanu bierności, trzeba nam przejść do ofensywy". Hasła naprawdę szczytne i bardzo na czasie. Chodzi tylko o to, aby do tej walki ofensywnej należycie się uzbroić i przygotować, a następnie stworzyć takie warunki, aby stanowczo ją wygrać. Na ten właśnie temat powinno się dzisiaj wiele pisać i wiele mówić. W niniejszym artykule poruszę tylko niektóre zasadnicze momenty.

Jest rzeczą pewną, że powodzenie i zwycięstwo w tej walce ofensywnej, o której marzymy, zależeć będzie przedewszystkiem od przygotowania i stanowiska tych, którzy z powołania swego są przewodnikami walczącego Kościoła, a więc od nas kapłanów. Wszak na nas skierowane są w pierwszym rzędzie wszystkie ataki nieprzyjaciół, na nas patrzy całe społeczeństwo katolickie, my domagamy się, aby katolicy nasi jako apostołowie świeccy szli z nami i wspierali nas w tej ciężkiej walce o zwycięstwo idei Chrystusowej i królestwa Jego na ziemi.

Nasuwa się tu jednak pytanie: czy my kapłani jesteśmy do tej walki należycie przygotowani i skonsolidowani? W odpowiedzi na to pytanie oddaję głos innemu, bardzo poważnemu kapłanowi. Było to we wrześniu w czasie kursu dekanalnych instruktorów w Akcji Katol. w Przemyślu. Kiedyśmy po wysłuchaniu kilku referatów o Akcji Katol. omawiali dzisiejsze zadania i warunki naszej pracy kapłańskiej, jeden z kapła-

[1]) Ruch Katol. 1932, Nr. 9—10, str. 267.

nów tak się wyraził: „Wszystko daremne, bo księży ogarnęło dziś jakieś zniechęcenie, jakiś brak wiary w siebie, że wogóle potrafimy coś zdziałać“. Wyznaję, że nad temi słowami głęboko się zastanawiałem, ale nie mogę przyznać im całkowicie słuszności. Bo gdyby tak było, to naprawdę nie siła wrogów powinnaby nas przerażać, ale raczej słabość nasza.

W każdym razie musimy się bronić przed tą słabością. A więc w chwilach niepowodzeń i zniechęcenia rozważajmy przykład Chrystusa Pana i uczniów Jego, wspominajmy bohaterstwo męczenników, apostołów i świętych kapłanów. Wreszcie umocnieniem naszem niech będą słowa św. Pawła Ap.: „Naostatek, bracia, krzepcie się w Panu i w sile mocy Jego. Obleczcie się w pełną zbroję Bożą, abyście mogli stawić czoło przeciwko zasadzkom djabelskim... Ujmijcie tarczę wiary, którąbyście mogli zgasić wszystkie strzały ogniste złośnika; weźmijcie też przyłbicę zbawienia i miecz ducha (którym jest słowo Boże) ze wszelką modlitwą i błaganiem modląc każdego czasu w duchu“[1]). Oto lekarstwa na słabość naszą, oto wskazówki, gdzie mamy szukać pokrzepienia.

Przedewszystkiem trzeba nam silnej i żywej wiary. Wszystko wskazuje na to, że trzeba nam dzisiaj wiele dla Chrystusa wycierpieć, ale właśnie przez cierpienie Kościół zawsze zwycięża. Nie łudźmy się, że zwyciężymy naszemi siłami ludzkiemi, bo te mogą ulec, ale ufajmy mocy Bożej. Mogą przyjść czasy jak najgorsze, ale ostatecznie zwycięży Ten, który przez krzyż swój zwyciężył świat. Chodzi tylko o to, abyśmy byli godnem narzędziem w ręku Jego, abyśmy na każdym kroku dawali świadectwo prawdzie Jego. Nie łudźmy się też, że ostoją Kościoła mogą być jakiekolwiek inne siły ludzkie — zwłaszcza, gdy one użyczają mu swego poparcia o tyle, o ileby chciały, aby Kościół popierał ich cele osobiste, często nawet niezgodne z etyką chrześcijańską. Opierając się na nauce Chrystusa: „Oddajcie, co jest cesarskie, cesarzowi“, bądźmy przykładnymi obywatelami państwa, unikajmy wszelkich nieroztropnych zatargów agresywnych wystąpień, ale z drugiej strony miejmy zawsze odwagę domagać się poszanowania praw Bożych w życiu publicznem. Trzeba tu stwierdzić z naciskiem, że wielką krzywdę wyrządzają Kościołowi i wielkie zgorszenie wywołują ci kapłani, którzy, nibyto w interesie Kościoła, bezwzględnie aprobują wszystkie metody potęg tego świata, chociaż one tak często kolidują z porządkiem moralnym. Przecież historja nie zna przykładu, ażeby kiedykolwiek Kościół ulegał potędze despotyzmu i stawał się jego narzędziem, chociażby ten największe dawał mu gwarancje.

Mamy też w ręku miecz ducha, którym jest słowo Boże, a przez nie wpływ na dusze ludzkie. To broń potężna, której nie zmoże żadna broń nowoczesna, ani też najwścieklejsze ataki różnych wolnomyślicieli czy bezbożników. Prawda, że to słowo Boże pada dziś często na ziemię jałową, nieurodzajną, nawet na opokę, jednakowoż niech ono nie będzie samem biadaniem na złe czasy, ale prawdziwem światłem dla rozumu, pociechą dla serc stroskanych i zbawczem lekarstwem dla kalek moralnych, zatrutych jadem zepsucia. Kazania nasze muszą być aktualne, a więc dostosowane do potrzeb duchowych naszych parafjan. W tym celu trzeba śledzić z największą uwagą wszystkie hasła i nowinki, aby szerzące się błędy bezzwłocznie prostować i tępić złe w samym zarodku. Mówią i o nas wiele, czasem bardzo ujemnie. Nie oburzajmy się zaraz, bo może ludzie wielką przysługę nam przez to świadczą, robiąc za nas rachunek sumienia naszego. Sądźmy się sami, a nie będziemy sądzeni. Wtedy i słowo Boże, przez nas głoszone, znajdzie posłuch w duszach ludzkich. Prócz słowa Bożego mamy mnóstwo sposobów oddziaływania na dusze ludzkie jako pasterze dusz, jako szafarze sakramentalnych łask. Niektórzy kapłani mają w tym kierunku wiele wypróbowanych środków i doświadczenia. Niech piszą o tem w „Gaz. Kościelnej“, aby też inni kapłani mogli te środki stosować. Z przyjemnością możemy czytać artykuły poważne, naukowe, historyczne, o życiu Kościoła, czy nawet „o zwyczajach weselnych w Palestynie za czasów Chrystusa Pana“. Jednak w każdym numerze „G. K.“ powinien się znaleźć jakiś artykuł z praktyki duszpasterskiej.

Mocą naszą jest wreszcie broń modlitwy, połączonej z duchem pokuty. O jej znaczeniu Ojciec św. Pius XI. w encyklice „Caritate Christi compulsi“ tak się wyraża: „Modlitwa i pokuta to dwie potęgi od Boga w życiu nam dane, byśmy nieszczęsną ludzkość, samopas bez przewodnika błądzącą, do Niego znowu doprowadzili“.

Zważywszy to wszystko, co dotąd powiedziano, widzimy, że niema żadnych powodów, aby poddawać się zniechęceniu. „Jeżeli Bóg z nami, kto przeciwko nam?“ Nie przeczę, że słabi jesteśmy, że nie przedstawiamy takiej siły moralnej, jaką nasze społeczeństwo katolickie chce w nas widzieć. Ale źródłem tej słabości naszej — to brak jedności i solidarności między nami, a nie mniej także brak zdrowej, prawdziwie kapłańskiej orjentacji w zapatrywaniach na życie publiczne. Czyż nie pamiętamy owych listów otwartych, w których podnoszono poważne zastrzeżenia przeciwko niefortunnym występom niektórych kapłanów? Czyż nie mamy w pamięci, jak to podczas głosowania w Sejmie w sprawie o charakterze moralnym (według orzeczenia Katol. Ag. Prasowej) kapłani-posłowie nie mogli swojego stanowiska uzgodnić? A są to przecież nie zwyczajni szeregowcy stanu duchownego! Pod wpływem tych i t. p. boleśnych wydarzeń umieściłem w r. 1931 w „Gazecie Kośc.“ (str. 73 n.) artykuł p. t. „O jeden front“. Moje nawoływania do jedności kapłańskiej potraktowano z pewnych stron jako nierealne „wynurzenia“, ale do tego czasu nie zrobiło się nic w kierunku konsolidacji naszej. Przyszło do powtórnych wyborów w niektórych okręgach i znowu nie obeszło się bez kompromitacji. Bo czyż nie jest to skandalem, jeżeli na skutek protestu przeciwko tym drugim wyborom władze prowadzą dochodzenia, a świadkowie pod przysięgą zeznają, jak to fabrykowano „jedynkę“ w pewnej komisji, gdzie przewodniczącym był proboszcz? Drugi przykład: W parafji N. urządza ksiądz zebranie przedwyborcze na rzecz „czwórki“. Za kilka dni przyjeżdża do tej samej parafji inny kapłan, który popiera „siódemkę“. Nie dość na tem. Przyjeżdża do tej parafji trzeci kapłan-poseł i agituje za „jedynką“, nie szczędząc oczywiście wobec zebranych słów krytyki pod adresem tych księży, którzy poprzednio agitowali. — I jakżeż w tych warunkach nasi katolicy mają się orjentować? Jak możemy domagać się od nich, aby szli z nami do walki ofensywnej przeciwko destrukcyjnej robocie wrogów Kościoła? Kto wreszcie ma być tym czynnikiem moralnym, któryby oddziaływał w duchu miłości chrześcijańskiej na to biedne, rozdarte społeczeństwo nasze, jeżeli nie będzie nim zjednoczone i solidarne ducho-

[1]) Efez. VI. 10—11, 16—18, w przekładzie X. Arcybiskupa Symona.

wieństwo? — Najwyższy czas, aby o tej konsolidacji naszej w całej Polsce pomyśleć. Nie mamy organizacji kapłańskiej „Unitas“, którąby zjednoczyła Duchowieństwo w całej Polsce i była wyrazem zdrowej i solidarnej opinji ogółu kapłanów, więc nic dziwnego, że każdy fałszywy krok tego czy owego kapłana kompromituje w opinji publicznej cały nasz stan. Jest orzeczenie naszego Episkopatu z r. 1921, że „dla poszczególnych spraw związki diecezjalne kapłanów mogą się łączyć przez komisję, czy delegatów na ogólnych posiedzeniach“, ale w ciągu lat 11 ani raz nie skorzystano z tego zezwolenia, chociaż tak wiele jest spraw, które wymagają porozumienia. Możeby przynajmniej nasi Czcigodni Księża Rekolektanci byli łaskawi porozumieć się w całej Polsce, aby później w czasie rekolekcyj kapłańskich jednomyślnie rozpocząć atak na te wszystkie bolączki i słabości nasze, które tu poruszam.

Jeszcze jeden warunek niezbędny, jeżeli w tej walce ofensywnej chcemy odnieść zwycięstwo. Potrzeba sztabu generalnego, potrzeba centrali, z którejby wychodziły hasła i dyrektywy na całą Polskę. Centralą tą powinien być „Naczelny Instytut Akcji Katol.“, ale „naczelny“ w całem tego słowa znaczeniu. Tam przez konsolidację najwybitniejszych sił katolickich powinien formować się obóz katolicki. Tam należałoby dać możność apostołom świeckim, aby wypowiedzieli się, jak w praktyce na podstawie encyklik papieskich uzdrowić nasze stosunki społeczne, ażeby społeczeństwo nasze dowiedziało się, że Kościół katolicki ma niezawodne lekarstwa na wszystkie społeczne niedomagania. Ta konsolidacja sił katolickich u góry wywrze ogromnie korzystny wpływ na Akcję Katol. u dołu, t. j. w parafjach naszych. Jeżeli zaś jej nie będzie, to będziemy się ciągle obracać w ciasnym zakresie kursów, rezolucyj, manifestacyj — i trudno się spodziewać, aby Akcja Katol. przeszła kiedyś u nas w żywiołowy ruch katolicki. Dobrze się stało, że z okazji tegorocznego święta Chrystusa-Króla z inicjatywy naszego Episkopatu Naczelny Instytut A. K. rzucił na całą Polskę to hasło bojowe do walki z bezwstydem i pornografją — i wszystkie Instytuty diecezjalne to hasło podjęły. Ale nie zawsze tak było. Nie jest to przecież żadną tajemnicą, że nasz Instytut Naczelny dla wszystkich Instytutów diecezjalnych naprawdę „naczelnym“ nie jest, — że związek między niemi jest dosyć luźny. Wystarczy wspomnieć, jakto w r. 1931 z okazji uroczystości papieskich wysyłano telegramy hołdownicze Ojcu św. Przesłał Instytut poznański, wileński i jeszcze inny, ale każdy od siebie. No — jeżeli chodzi o efekt zewnętrzny, to z każdej parafji możemy wysłać telegram hołdowniczy. Ale wydaje mi się, że przez Instytut Naczelny powinna przemawiać zawsze cała Polska katolicka — i telegramy hołdownicze powinny być wysyłane przez ten Instytut w imieniu całej katolickiej Polski.

Na zakończenie podkreślam jeszcze raz: o ofensywie trzeba myśleć. Ale powodzenie w tej walce zależeć będzie głównie od nas kapłanów, — od zrozumienia przez nas tego zasadniczego dylematu: Albo—albo! Jeżeli zaś tego zrozumienia nie będzie, to hasła najszczytne pozostaną tylko czczemi frazesami.

Gorzyce. *X. Adam Osetek, proboszcz.*

Wiedza naukowa a wiara religijna

Rozmyślając nad ogólnemi zagadnieniami świata, fizjolog niemiecki Emil du Bois-Reymond wypowiedział swoje słynne „ignoramus et ignorabimus“, stwierdzając, że cały szereg kwestyj pierwszorzędnej wagi dla ludzkości stoi ponad rozumem człowieka i nigdy nie będzie przez naukę rozwiązany. Odtąd zaczęli niektórzy z nieufnością odnosić się do wiedzy.

Otwartą walkę nauce wydał — co wygląda na paradoks — największy racjonalista w wieku „Oświecenia“ J. J. Rousseau, który wołał: „Ludzie, dowiedzcie się już raz o tem, że przyroda chciała was uchronić przed nauką tak, jak matka wyrywa niebezpieczną broń z rąk dziecka; że wszystkie tajemnice, jakie ukrywa przed wami przyroda, są niebezpieczeństwami, a trud, jaki ponosicie przy kształceniu się, nie jest najmniejszem z jej dobrodziejstw. Przewrotni są ludzie, a byliby jeszcze gorsi, gdyby mieli to nieszczęście, żeby przychodzili na świat jako uczeni“.

Ani bezbożny racjonalizm XVIII w. ani cała wiedza przyrodnicza wieku następnego nie przyniosły zadowolenia umysłom głębszym. Leon Tołstoj w szkicu zatytułowanym: „O celu sztuki i wiedzy“ stara się dowieść bezużyteczności wiedzy dla rozwiązania najważniejszych zagadnień, zajmujących ludzkość i mówi: „Wszystko, co nazywamy kulturą, nasza nauka, sztuka, wydoskonalenie komfortu życia jest tylko usiłowaniem oszukania wymagań moralnych człowieka. Wszystkie postępy wiedzy aż do czasów obecnych nie tylko że nie polepszyły, lecz jeszcze bardziej pogorszyły położenie większości, t. j. robotników“.

Według Tołstoja miano prawdziwej nauki należy się tylko „znajomości tego wszystkiego, co jest celem i co za tem idzie, prawdziwem szczęściem jednostki i wszystkich ludzi“.

Najważniejszy przeto zarzut, jaki pisarz rosyjski stawiał wiedzy, kulturze i postępowi — sprowadza się do ich bezsilności w rozwiązywaniu najtrudniejszych zagadnień, a mianowicie: jaki jest cel bytu człowieka na ziemi i na czem polega prawdziwe szczęście?

Wkrótce po Tołstoju słynny krytyk i publicysta francuski Brunetière pod wrażeniem swojej podróży do Rzymu i audjencji u Papieża wypowiedział zupełnie podobne zdanie i ogłaszał „bankructwo wiedzy“.

Oto jak Brunetière formułuje zarzuty: „Nauka obiecywała odnowić oblicze świata i odsłonić tajemnice; nie uczyniła jednak tego. Jest ona bezsilną wobec kwestyj zasadniczych, tych, które dotyczą pochodzenia człowieka, praw jego postępowania, jego losu przyszłego. Wiemy, że nauki przyrodnicze nigdy nie pouczą nas w tym względzie. A zatem w walce pomiędzy wiedzą a religją wiedza przegrała, ponieważ uznała się za bezsilną tam, gdzie religja zachowała całą swą moc. Rozwiązania bowiem, których nie daje wiedza, otrzymujemy od religji. Ona poucza nas o tem, czego nie uczy anatomja ani filozofja, t. j. o tem, gdzie jesteśmy, dokąd idziemy i co mamy czynić. Etyka i religja uzupełniają się wzajem; a ponieważ nauka nic nie może uczynić dla moralności, religji trzeba przyznać pierwszeństwo“.

Odpowiadano wprawdzie Brunetière'owi, że zarzutom jego brak podstawy, bo nauka rzekomo nigdy nie obiecywała rozwiązania wielkich zagadnień, ale odpowiedzi te mijały się z prawdą, bo w dobie sceptycyzmu w Europie, mówiono i pisano, że całe życie ludzkie da się uregulować według praw przyrody,

bez wtrącania się dogmatu, religji i metafizyki. W książce Büchnera: „Siła i materja“, która ma według niego pouczać o całym świecie według danych naukowych 19 wieku, znajdujemy następujące twierdzenia:

„Dziś należy gdzieindziej, a nie w dawnej i fantastycznej wierze w pierwiastek nadprzyrodzony, szukać podstaw moralności. Wiedza powinna zająć miejsce religji, wiara w prawdziwość niewzruszonego porządku wszechrzeczy zająć miejsce wierzenia w duchy i upiory, moralność naturalna — miejsce moralności sztucznej czyli dogmatycznej“.

Pytanie: „dokąd dążymy“ znajduje także odpowiedź w materjalistycznym brewjarzu naukowym Büchnera. Zwalcza on pojęcie nieśmiertelności, głoszone przez wszystkie religje i dochodzi do wniosku: „Idea nicości czyli końca życia indywidualnego nie ma nic przestraszającego dla człowieka, wykształconego przez filozofję. Zagłada jest spokojem zupełnym, uwolnieniem od wszelkiego bólu, oswobodzeniem od wszelkich wrażeń, które dręczą umysł i ciało, jak to jasno wytłumaczyła głęboka idea religji Buddy; nie należy się przeto jej obawiać, ale raczej pragnąć, gdy życie dosięga krańca normalnego a starość się zbliża z pocztem nieuniknionych słabości“.

Nie trzeba sądzić, że zdania tu przytoczone należy zaliczyć tylko wyłącznie na karb Büchnera. Pisarz ten był raczej odgłosem opinji, rozszerzonej pośród uczonych materjalistów i pozytywistów owego czasu.

Häckel w książce: „Zagadki świata“ redukuje moralność do instynktu społecznego, nie mającego żadnego związku z dogmatami religijnemi. O końcu życia ludzkiego pisze on tak: „Najlepszym końcem, jakiego możemy pragnąć po życiu pracowitem, najlepiej wypełnionem podług naszego sumienia, jest wieczny spokój grobu“.

Jeżeli zatem wiedza nie zdoła rozwiązać najważniejszych zagadnień, dręczących ludzkość, jeżeli ostatnią jej odpowiedzią jest zachwalanie wiecznego spokoju w grobie, to nic dziwnego, że wiele umysłów najwybitniejszych odwraca się od niej. Pragnienie znalezienia pociechy wśród nędz tego życia prowadzi ich w objęcia religji. We wszystkich warstwach nowoczesnego społeczeństwa można zauważyć poszukiwanie nadprzyrodzoności, nawrót do wiary i potępianie bezbożnictwa. „Ilustrowany Kuryer Codzienny“ krakowski przytacza za dziennikiem „Neues Wiener Journal“ zdanie wolnomyślnego pisarza i polityka dra E. Wengrafa z Wiednia: „Wszelka propaganda antyreligijna wydaje mi się przestępstwem. Uważam ją za niemoralną i wstrętną, nie z gorliwości religijnej, lecz na podstawie prostego, w ciągu długiego doświadczenia nabytego przekonania, że w tych samych warunkach człowiek religijny jest szczęśliwszy od bezreligijnego“.

„Co wy, wolnomyśliciele, z waszą krzykliwą reklamą — woła Wengraf — dajecie tym biednym ludziom, pozbawionym wiary, wzamian za to, co im kradniecie? Czyż otuchy i pociechy, którą dotychczas znajdowali w swym Bogu, w swym Kościele i być może przed obrazem świętego, mają szukać w wiecznej materji? Zamiast kochanego Boga, dajecie im jedną z hipotez naukowych, wybranych z pośród dziesięciu innych, albo formułę filozoficzną, której marzenia nie każdy może zrozumieć“.

Swego czasu nawet taki sceptyk jak Zola nie mógł się oprzeć powabom wiary i od czasu śmierci matki, jak to sam wyznaje, dokonał się głęboki wyłom w nihiliźmie jego przekonań religijnych.

Wielu z pośród najbardziej zagorzałych materjalistów i ateuszów wychowuje swe dzieci w zasadach religijnych, wiedząc z własnego doświadczenia, że kruche zasady naturalizmu nie mogą zastąpić wiary, tej jedynej ostoi szczęścia ludzkiego.

Wartość filozofji bezbożnej poznał jeszcze Salomon, gdy wypowiedział te słynne słowa: „Widziałem wszystko, co się dzieje pod słońcem: a oto wszystko marność i utrapienie ducha“ (Ekl. I, 14).

W Nowym Testamencie przestrzega św. Paweł: „Patrzcie, by kto was nie oszukał przez filozofję i próżne mamienie: wedle ustawy ludzkiej, podług elementów świata, a nie według Chrystusa“ (Kolos. II, 8). *X. Antoni Lorens.*

MIASTO WIEŻ — KOPENHAGA

W blaskach wschodzącego słońca, łukiem rzuconym nad brzegiem morza, wyłania się z pośród mgieł — miasto wież — Kopenhaga. Stare, bo wywodzące się z XI wieku, założone przez biskupa Absalona, dawniej nosiło miano „Harn“ (port). Klęska pożarów dotknęła kilka razy ten gród kupców „Köpmannehafen“ tak, że dzisiaj niewiele jest zabytków z XIII w. Po wojnie z Prusami, kiedy Danja straciła Szlezwik i Holstein, nie upadła na duchu, ale przeciwnie za króla Chrystjana IX. zaczęła się dźwigać, kierując się dewizą „cośmy stracili nazewnątrz — musimy odzyskać wewnątrz“. Kopenhaga, licząca obecnie 800 tysięcy mieszkańców, cały swój rozwój zawdzięcza korzystnemu położeniu nad morzem, a wolny port, do którego przybijają okręty transatlantyckie, to różdżka czarodziejska, pod której dotknięciem miasto rozwinęło się, zbogaciło i nabrało właściwego uroku. W r. 1894 port przebudowano i urządzono stosownie do nowoczesnych potrzeb. Dwa baseny mogą pomieścić olbrzymy amerykańskie, a Silopack, dom zbożowy i magazyny mogą przyjąć do załadowania 11.000 tonn zboża. Ale kiedy nasz okręt „Polonia“ wjeżdżał do portu, nie widziałem wielkiego ruchu i ożywienia. Cały las czarnych kominów okrętowych — zagasłych, świadczył, że i tutaj wślizgnęła się zmora kryzysu gospodarczego.

Z okrętu przesiadamy się na motorówkę i odbywamy przejażdżkę, by oczy swe nasycić widokiem miasta ze strony morza. Po wyjściu z motorówki kierujemy się do centrum miasta i stajemy na placu przed ratuszem, który jest jakby sercem miasta. Ponieważ ulice od ratusza układają się w kształt litery S. a na przestrzeni tej odbywa się najżywszy ruch pieszy i kołowy, Duńczyk nazywa tę przestrzeń i ruch na niej przelewający się — „Strög“. Oko przybysza uderza przedewszystkiem wielka ilość ludzi na rowerach. Ten rumak żelazny, na dwóch kołach, niesie lekarza do chorego, ucznia do szkoły, służącą na targ a nawet babunię, wiozącą swe wnuki na spacer. A warto dodać, że przed sklepami Duńczycy zostawiają rowery bez żadnego nadzoru i nie obawiają się, by kto koło zamienił albo przywłaszczył sobie. Piękny to objaw moralności i poszanowania cudzej własności. A u nas czy możnaby pozostawić rower bez dozoru na ulicy? Mimo wielkiego ruchu kołowego i automobilowego na ulicach miasta panuje spokój. Nie słychać ryku syren, hałasu dzwonków tramwajowych. Wszystko odbywa się w porządku. Przez cały czas

Z przeszłości kościoła św. Kazimierza we Lwowie

Kościół św. Kazimierza we Lwowie tworzy wraz z pałacem arcybiskupim, z kościołem św. Teresy i św. Józefa, oraz z gmachem seminarjum duchownego nader uroczy, ogólnie podziwiany szczegół i tak zresztą pięknego naszego Lwowa. W ostatnich dniach przy naprawie dachu i wieżyczki tego kościoła znaleziono w bani pod krzyżem pewne dokumenty, z których treścią zapoznamy się w dalszym ciągu niniejszego artykułu. Najpierw jednak pragnę podać kilka ciekawych szczegółów o początkach kościoła.

Znany kronikarz lwowski X. J. T. Józefowicz, kanonik kapituły metropolitalnej, tak te początki przedstawia, pod rokiem 1664.

Około r. 1622 przybyli do Polski OO. Reformaci i wkrótce pobudowali liczne klasztory. Do Lwowa zaprosił ich Hermold na wielkich Kończycach Mniszek, starosta lwowski. Grunt pod budowę klasztoru i kościoła oraz na ogród darowały im wojewodzina ruska Zofja Daniłowiczowa z Żółkwi i panny Benedyktynki. Grunt ten jednak był stokiem góry i należało go wyrównać, aby można było na nim budować. Przybył tedy do Lwowa z Przemyśla O. Bonawentura, mąż zacny i nader przykładny zakonnik, pierwszy fundator i przełożony klasztorów reformackich na Rusi. On to w kazaniach swoich, na których licznych miewał słuchaczy, obiecywał młodzieży tyle zasług, ile wózków ziemi z góry na dół zwiezie. „I nie do uwierzenia, z jaką gorliwością wzięli się natychmiast nietylko młodzież, ale i starce, ze szlachetniejszego stanu osoby, a nawet kobiety do kopania i znoszenia góry tak, że wkrótce płaszczyznę dogodną dla budowania kościoła i całego klasztoru usypali, że góra chropowata tyle miejsca, ile było potrzeba, do budowli dostarczyła i że przez trzy lata dla położenia zasług młodzi i starzy bez ustanku pracowali bez najmniejszych wydatków fundatorów“.

Pierwszy klasztor i kościół pod wezwaniem świętych Męczenników Rocha i Sebastjana zbudowane były z drzewa. W tym klasztorze, którego przełożonym był wspomniany Ojciec Bonawentura, żyli w wielkiem ubóstwie i prawie tylko z boskiej Opatrzności Bracia Reformaci, nie troszcząc się jednak podług nauki Zbawiciela o to, czem się nakarmią, albowiem tak wielką miłość w serca ludzkie wlał Najwyższy, że im gotowe obiady dostateczne obywatele lwowscy, bądź łacińskiego bądź ormiańskiego obrządku, codziennie przysyłali.

Ten drewniany kościół z klasztorem stał do r. 1648, w którym około oktawy św. Franciszka przez Chmielnickiego zupełnie spalony został; przyczem brat Ignacy Solecki, paraliżem tknięty, z ręki Kozaków zginął, a dwaj inni, do miasta uciekłszy, na zgniłą febrę umarli.

Fundatorami nowego, obecnie istniejącego kościoła murowanego byli kasztelan kamieniecki Mikołaj Bieganowski i żona jego Urszula z Krosnowskich. Zaczęto go budować w r. 1656, a poświęcenia dokonał w r. 1664 arcybiskup Tarnowski, wobec nader licznego zgromadzenia ludzi wszelkiego stanu i z największą uroczystością, naznaczywszy mu przytem za patrona św. Kazimierza.

Tyle X. Józefowicz.

Z dokumentów, wyjętych z bani pod krzyżem, dowiadujemy się następujących dalszych szczegółów.

W r. 1753 zbudowano z ofiar różnych dobroczyńców wieżyczkę i pokryto ją miedzią. Dokument z tego roku podaje obok nazwisk papieża, króla polskiego, prymasa, arcybiskupa lwowskiego, także imiona i nazwiska Reformatów, którzy wtedy w klasztorze lwowskim przebywali. Było ich wszystkich 28, a w tej liczbie 11 księży, 9 studentów teologji i 8 braci.

Następny dokument pochodzi z roku 1849. Opowiada on, co następuje. Roku Pańskiego 1849, w miesiącu październiku, kazały Siostry Miłosierdzia u św. Kazimierza [1]) zdjąć z wieżyczki kościelnej krzyż, który się mocno już był pochylił i groził spadnięciem. Przy zdjęciu krzyża pokazało się, że czop drewniany, w którym krzyż stał, zupełnie już był zbutwiał, a próchno

[1]) W r. 1783 przeniesiono Reformatów do kościoła Karmelitów, a kościół św. Kazimierza oddano SS. Miłosierdzia.

---

pobytu swego w Kopenhadze nie zauważyłem ani jednego policjanta.

Ratusz, budynek nowszy z 19 wieku, utrzymany w stylu starego domu patrycjatu mieszczańskiego, zawiera w sobie motywy staroduńskie i starowłoskie. Szerokie granitowe schody prowadzą do wnętrza hali ratuszowej. Posadzka wyłożona taflami kamienia gotlandzkiego, na ścianach mozajki. Na wieży ratuszowej, najwyższej w mieście (105 metrów), znajduje się dzwon poruszany elektrycznością. Po zwiedzeniu ratusza, przez ulicę „Nygade“, dochodzimy do Kongens Nytorv. Jest to piękny, aczkolwiek nieregularny plac o powierzchni 3 ha., z którego rozchodzi się 13 ulic w różne strony. Tutaj oglądam piękny pałac „Charlottenborg“ w spokojnym holenderskim baroku. Po przeciwnej stronie teatr królewski w stylu renesansowym. Przed teatrem dwa piękne posągi Ludwika Holberga, ojca duńskiej literatury, którego nazywają Molierem duńskim i Adama Oehlenschlägera, słynnego tragika. Nad sienią ciekawe motto: „ej blot til List“, co znaczy „nie tylko dla rozrywki“.

Przy ulicy Bredgade piękny kościół protestancki, nazwany „Marmor-Kirke“, (kościół marmurowy). W klasycznym baroku o pięknej kopule, nieco mniejszej od św. Pawła w Londynie, przechodził różne koleje. Budowano go 150 lat. Plany przerobił francuski architekt Jardin. Wnętrze wyłożone marmurem norweskim. Ponad kopułą 18 figur od Mojżesza do Lutra. W ołtarzu krzyż nagi, na który padają promienie słońca przez szyby niebieskie. Ten szary, zimny marmur oświetlony światłem bladoniebieskiem wnosi do kościoła jakieś lodowate zimno. Nie dziw! Wszak nie płonie tu lampa wieczna, Jezus żywy ciepłym promieniem swojego Boskiego Serca, nie ogrzewa tych zimnych murów.

O ileż żywiej serce me zabiło, gdy wszedłem do katedry katolickiej, do kościoła św. Ansgarego, stojącego przy tej samej ulicy. Zbudowany w stylu bazylikowym, nie ma ani wieży, ani dzwonów, ani okien po stronie ulicy. „Tolerancja“ protestancka nie zezwoliła na to. A jednak z tego małego kościoła płyną ożywcze prądy po całej Danji. Tutaj dnia 19 sierpnia r. b. Mons. Brems, otwierając pierwszy skandynawski Kongres Eucharystyczny, mówił o powszechności Kościoła — a słowa jego nabierały siły wobec coraz to żywszego rozwoju katolicyzmu w Danji. Być może, że niedługo katedra katolicka w Kopenhadze, przystroi się we wspaniałą formę gotyku północnego.

Nad brzegiem morza wznosi się obecna rezydencja królewska „Amalienborg“. Cztery pałace w sty-

tego czopa, zniesione z dachu przez architektę miejskiego Salzmana, wyglądało jak świeżo upalona starta kawa. Pod czopem znalazł się szklanny słoik, nakryty blaszką miedzianą, w którym mieścił się owinięty skórą podany wyżej opis wystawienia wieżyczki z roku 1753. Prócz tego opisu znajdowały się w słoiku: wydrukowane na kartkach modlitwy kościelne i teksty Pisma św. dla oddalenia piorunów, krzyżyk drewniany, cząstka wosku z *Agnus Dei* i jakieś okruszyny, może relikwje.

Restauracja krzyża w r. 1849 dokonana została kosztem hrabiny Honoraty Borzęckiej. Dokument spisał X. Antoni Waśniewski, profesor Szkoły Zakonników, ojciec duchowny Małego Seminarjum i spowiednik Sióstr Miłosierdzia. Prócz papieża, cesarza, gubernatora, komendanta wojskowego i administratora diecezji podaje on jeszcze skład kapituły, nazwiska profesorów Wydziału teologicznego i Szkoły zakonników, prowincjałów, przełożonych zakonów żeńskich, spis sióstr u św. Kazimierza, oraz przełożonych Seminarjum duchownego. Małe Seminarjum dla stanu oblężenia było zamieszkałe przez wojsko, konwiktorowie mieszkali w mieście". Następnie podaje autor spis biskupów galicyjskich wszystkich obrządków; między nimi: „Samuel Stefanowicz, starzec niemal stuletni, od 80 lat we Lwowie zamieszkały, zapamiętał jeszcze rządy królów polskich, jest to mąż wielkiej świątobliwości, pochwałami Ojca św. Grzegorza XVI zaszczycony". Mieszkał pod ów czas we Lwowie u XX. Franciszkanów X. Marceli Gutkowski, biskup podlaski, gorliwy wyznawca wiary katolickiej, obrońca praw Kościoła; po odbytem czteroletniem więzieniu w Mohilowie wydalony został na rozkaz rosyjskiego cesarza Mikołaja I do Galicji.

Na zakończenie pisze X. Waśniewski: „Jeżeli ten opis znowu kiedyś może kto z wieży zdejmie i odczytywać będzie, zapewne inne ludzie i inne czasy będą, ten sam jednak Kościół św. katol. i wtedy trwać będzie, bo niebo i ziemia przeminą a Słowo Boże nie przeminie, ten sam Zbawiciel nasz Jezus Chrystus przebywać będzie w Kościele świętym, w Najśw. Sakramencie Ołtarza, Jego — jak Apostoł narodów mówi — jesteśmy, choć żyjemy, choć umieramy, Jemu dusze nasze polecamy, a czytelników o pozdrowienie Anielskie prosimy".

Trzeci dokument sporządził w r. 1877 misjonarz X. Andrzej Prószyński. Po wyliczeniu głównych ówczesnych dostojników nadmienia autor, że w owych czasach srożyło się w Prusach okrutne prześladowanie, biskupi i kapłani trzymani byli za wiarę w więzieniach; w państwie rosyjskiem zabijano wśród najwyszukańszych katuszy niezliczone żertwy katolickie, po całym prawie świecie szalało srogie prześladowanie wiary, a wielka wojna między wojskami Turcji i Rosji wszystko pustoszyła.

W tych smutnych czasach było w zakładzie sierot u św. Kazimierza 5 sióstr i 50 dzieci. Przełożoną tego zakładu była Zofja Romanowska, odznaczająca się płomienną żarliwością i najwyższą zapobiegliwością o Chwałę Bożą. Postanowiła ona odnowić zniszczony kościół i dokonała tego rzeczywiście, uzyskawszy pieniądze z publicznych składek. Pod kierownictwem architekty Ignacego Winiarza zrestaurowano gruntownie wewnątrz i na zewnątrz chylący się już do upadku kościół, odbudowano na nowo chór, odmalowano ołtarze i ściany.

Następna krótka wzmianka opowiada o naprawieniu wieżyczki w r. 1895, kiedy superjorem był X. Franciszek Bloch, a s. Stefanja Zdanowicz przełożoną zakładu sierót, których było 61. Prócz wszystkich dokumentów włożono do słoika krzyżyk i parę medalików, „aby Najświętsza Dziewica jako Pani i Władczyni tego domu i kościoła wszystkiem kierowała ku większej chwale Swego Boskiego Syna i Swojej, a pożytkowi tych dusz, które tu po wieczne czasy mieszkać będą".

Piąty wreszcie współczesny dokument podajemy w całości:

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Działo się w Roku Pańskim 1932, pamiętnym prześladowaniem Kościoła katolickiego w Sowietach i w Meksyku, za pontyfikatu Ojca świętego Piusa XI, gdy Arcybiskupem-Metropolitą Lwowskim obrządku łacińskiego był ks. Bolesław Twardowski, gdy Prezyden-

---

lu rokoko razem połączone, tworzą ośmioramienny plac, na którym stoi piękny posąg bronzowy Fryderyka V., okryty zieloną patyną. Przed placem charakterystyczna kolumnada.

Najdroższą częścią ziemi dla każdego Duńczyka jest mała wysepka znajdująca się w mieście t. zw. „Slotsholm", (wyspa zamkowa), na której zbudowany jest „Christiansborg". Fundamenty pod ten zamek rzucił jeszcze we w. 12 biskup Absalon. Trzy razy spalony, trzy razy rozbity w gruzy ręką nieprzyjacielską, odżył na nowo i jest dzisiaj siedzibą sejmu i rządu duńskiego. Do pałacu prowadzi piękny most marmurowy, a szczyt wieży wieńczy korona, którą widać zdaleka.

W pobliżu Christianbourgu jest muzeum Thorwaldsena. Genjuszem potężnym, który swe skrzydła rozpostarł nad całą Kopenhagą, a sławę imienia Danji rozniósł po całym świecie kulturalnym, to dziecię Kopenhagi — słynny Thorwaldsen. Canova powiedział o nim, że jest „un uno divino". Wszystkie jego dzieła tchną majestatem i powagą. Pod ręką tego wielkiego rzeźbiarza bryła marmuru drga życiem, a w bronzie zdaje się płynie żywa krew. W skupieniu wchodzi się do muzeum Thorwaldsena, którego też ciało tutaj spoczywa. Zaprawdę dziwny to widok. Obok grobu 32 sale przepełnione rzeźbami i modelami tego wielkiego człowieka. Po śmierci żyje w dziełach swych! Warto tu nadmienić, że pomniki Kopernika i ks. Józefa Poniatowskiego w Warszawie są jego dziełami. Nas szczególnie zainteresowała tak zwana „Sala Chrystusowa".

Do najpiękniejszych zabytków miasta należy słynna Giełda z XVII wieku w stylu holenderskiego renesansu. Fasada z czerwonej cegły, przerzynana ozdobami z piaskowca, z dachem miedzianym okrytym zieloną patyną, z charakterystyczną wieżą spiralną, stanowi prawdziwą ozdobę.

Bogate zbiory i wykopaliska od epoki kamiennej, poprzez czas bronzu i żelaza, dział etnograficzny i numizmatyczny mieści się w Muzeum Narodowem. Ofiarności jednego człowieka zawdzięcza swe powstanie „Glyptoteka", założona przez właściciela Browarów Jacobsona, który ofiarował na ten cel miljon koron i bogate zbiory. Cztery pawilony, połączone w jedną harmonijną całość, kryją w sobie bogaty dział sztuki duńskiej i zbiór sztuki francuskiej, największy i najbogatszy poza Paryżem.

Wśród wieńca przepysznych zabytków architektonicznych, prawdziwą perłą jest „Rosenborg", dawny zamek królewski, w stylu renesansowym, który

tem Rzeczypospolitej Polskiej był Ignacy Mościcki.

W miesiącu wrześniu, s. Rozalja Ziętak, Przełożona Domu SS. Miłosierdzia przy kościele św. Kazimierza, zarządziła naprawę spróchniałego wiązania i odbudowę zniszczonej wieżyczki.

Podczas tych robót, przeprowadzonych wyłącznie kosztem Zgromadzenia, znaleziono pod krzyżem puszkę szklaną, a w niej dokumenty pamiątkowe z r. 1753, 1849 i 1877, oraz krzyżyk metalowy, tudzież w dwóch zwojach papierowych drobne dewocjonalja. Przedmioty te oczyszczono z kurzu, poczem dołączywszy do nich medaliki, umieszczono z powrotem w puszce. To wszystko pismem niniejszem stwierdzamy i gorąco błagamy Boga: Chryste, Królu świata, miej w opiece naszą Ojczyznę, którą łaską Swoją wskrzesiłeś, błogosław Jej dzieciom i strzeż nasz naród od wszelkiego nieszczęścia, a zwłaszcza od szatańskiej zarazy bolszewizmu.

†

Ecce crucem Domini, fugite partes adversae,
Vicit Leo de tribu Juda, radix David.
Christus vincit, Christus regnat, Christus imperat".

Wszystko to streścił i przepisał ku pamięci potomnych — *X. Stanisław Szurek.*

Zwyczaje weselne w Palestynie za czasów Chrystusa

(Dokończenie).

W czasie uczty weselnej miała ogólna radość dojść do najwyższego szczytu. W tym celu miała być sala w porze nocnej przy pomocy lamp oliwnych rzęsiście oświetloną. Wszyscy goście mieli się zjawić przy stole w czystych i białych szatach weselnych (godowych). W szatach brudnych nie wolno było, poza ucztą pogrzebową, przy której żałoba na to pozwalała, wejść do sali.

Czysta szata godowa przynosiła zaszczyt gospodarzowi domu i obok wina rozweselała oblubieńców, o co w sali godowej głównie chodziło. Że w owych czasach wywoływały radośny nastrój szaty i wino, poucza o tem Talmud, w którym r. Jehuda (150) powiedział, że mężczyzn rozwesela wino, a kobiety, zdaniem r. Józefa, białe szaty. Zaś r. Jehuda, syn Bathyra dodał, że jak długo stała jeszcze świątynia jerozolimska, rozweselało człowieka także mięso ofiarne [1]).

Jeśli goście weselni byli ubodzy i nie stać ich było na nowe szaty, mogli je sobie wypożyczyć. Tak też według Talmudu czyniono, wypożyczając szaty na siedm dni. Jednak r. Eleazar (190) radził takim biedakom, ażeby je wypożyczali na dwa tygodnie, celem wzięcia udziału także w ostatniej uczcie weselnej, która odbywała się w drugą sobotę po ślubie [2]).

Kto zaś z ubogich nie chciał wypożyczyć nowych szat, miał swe stare wyprać, miał się także wykąpać i namaścić oliwą i wonnościami i dopiero wtedy mógł położyć się przy stole weselnym [3]).

Z Talmudu wynika, że szaty godowe były białe i lniane i nie zewnętrzne. Wspomniany bowiem r. Eleazar polecał wypożyczać szaty spodnie (kutonet) na przeciąg dwóch tygodni [4]).

Dopiero w świetle tekstów talmudycznych rozumiemy dokładnie króla z przypowieści Pana Jezusa o godach weselnych, który zobaczywszy w swej sali człowieka „nie odzianego szatą godową", kazał go związać i wrzucić do więzienia za krzywdę, jaką wyrządził jemu i jego domowi, wyłamując się z pod przepisów prawa powszechnie wówczas znanego i szanowanego, nawet w najuboższym domu izraelskim.

Przy stole zajmował oblubieniec pierwsze miejsce. Obok niego oblubienica i dwaj drużbowie. Potrawy podawano według przepisów talmudycznych i ponieważ uczta miała także charakter religijny, odmawiano nad jednym kielichem wina modlitwę za oblubieńców i udzielano im błogosławieństwa. To powtarzało się w czasie uczty każdego dnia, w obecności najmniej 10 osób, w ciągu wszystkich dni weselnych, których

[1]) Zob. Pesachim 109 a (II, str. 400—401); Midr. Koheleth 9, 8 (I, 878—880).
[2]) Zob. Tos. Baba mecja 8, 28 (390) II, str. 399.
[3]) Zob. Midr. Koholeth 9, 8.
[4]) Zob. Tos. Baba mecja 8, 28 (390) str. 399.

---

zawiera zbiory po zmarłych królach duńskich i drogocenne klejnoty koronacyjne. Są tutaj cenne talerze srebrne z XVII w. puhary i szkła, zegar astronomiczny z 1594 r., siodła i czapraki nasadzane złotem i perłami, tron srebrny, na którym spoczywali królowie w czasie ceremonji namaszczania. Każdy król uważał za swój obowiązek w tym zamku zapełnić jedną salę zabytkami swego czasu. W starej dzielnicy Christianshavn zasługuje na zwiedzenie kościół Zbawiciela „Frelsers-Kirke". Kościół ten w stylu barokowym, z czerwonej cegły w kształcie greckiego krzyża, ma oryginalną wieżę, spiralnie łamaną, zakończoną kulą złocistą. Wnętrze zdobi piękny barokowy wielki ołtarz z różnokolorowego marmuru, z korynckiemi słupami. Główna grupa z białego marmuru, przedstawia Chrystusa w Getsemani, którego Anioł pociesza. Wiele pięknych kościołów i starych zamków, muzea bogate i piękne pomniki, to wszystko złożyło się na to, że Kopenhagę nazywają Atenami północy.

Ale skończmy tę nużącą już może dla niejednego przechadzkę po mieście. Wrażenia oglądanych rzeźb i obrazów, pomników i zabytków minionej przeszłości, mącą się w głowie. By nas odświeżyć, prowadzi nas Duńczyk na „Lange Linie". Umiejętne połączenie natury z pracą ludzką stworzyło tu piękny widok. przez falisty teren, pełen wzgórz, okrytych zielenią i trawnikami pięknie utrzymanemi, biegnie pogięta linja spacerowa, ciągnąca się wzdłuż morza. Po jednej stronie morze pełne żaglówek i motorówek, zawsze pełne życia, świeżą pianą obryzguje drogę asfaltowaną, z drugiej strony wzgórza i pagórki, tonące w soczystej zieleni, dają pokrzepienie zmęczonym płucom mieszkańców tego ślicznego miasta.

Na zakręcie rzuca się w oczy wspaniały wodotrysk kompozycji Bundgaarda, który zaczerpnął motywu do tego dzieła z mitologji północnej. Oto młodociana bogini Gefjon otrzymała od szwedzkiego króla pozwolenie zabrania sobie tyle ziemi, ile zdoła zaorać czterema wołami. Czterej bracia jej, przemienieni siłą bogów we woły, zaorywują potężnym wysiłkiem szmat ziemi — późniejszą wyspę. Patrząc na tę grupę wykutą z kamienia, obryzgiwaną pianą wody, mimowoli uczyniłem porównanie, czego dokonał dzielny naród duński. Chociaż kraj z natury ubogi, nie ma bogactw naturalnych, pracowitością i wytrwałością wyorywa Duńczyk dla siebie przyszłość jasną i chlubić się może, że przybysze z innych krajów z żalem opuszczają ich ojczyste miasto wież — Kopenhagę. *X. Piotr Struszkiewicz.*

było 7, gdy oblubienica była panną, a 3, gdy była wdową[5]).

Dla rozweselania nowożeńców śpiewano także przy stole pieśni i opowiadano żarty, czasami dwuznaczne i rozwiązłe, które ucztujący rabini przerywali, rozbijając drogocenne naczynia na stole lub wygłaszając poważne, a nawet żałobne mowy[6]).

Codziennie w ciągu trwania dni weselnych przychodzili nowi goście i z dawnych pozostawali tylko drużbowie, których obowiązkiem było pozostać przy młodej parze do końca wesela[7]).

Tym ciągłym napływem nowych gości tłumaczy się fakt wyczerpania się zapasów wina na weselu w Kanie Galilejskiej (Jan 2, 3). Wina musiało także dużo wychodzić dla ciągłego podtrzymywania radośnego nastroju wśród ucztujących, zwłaszcza mężczyzn.

Celem przyrządzenia dobrego wina przy wielkich ucztach i obsłużenia niem zaproszonych gości, wybierano podczaszego (szakja, *ἀρχιτρίκλινος*, Jan 2, 8—9), który miał przyprawić wino korzeniami i zmieszać je z wodą, by nie było za słodkie. Zwyczaj mieszania wina z wodą był znany w starożytności także u Greków i Rzymian[8]). Po przygotowaniu i skosztowaniu wina miał podczaszy nalewać je do kielichów, które następnie niewolnicy, pozostający pod jego rozkazami, zanosili do stołu i zpowrotem je zabierali, gdy były próżne, by je znowu podać podczaszemu do napełnienia[9]).

Dlatego też Pan Jezus poleca na weselu w Kanie zaczerpnąć nowego wina i podać przełożonemu wesela do skosztowania (Jan 2, 8—9).

W starożydowskich domach nie był jednak taki podczaszy „przełożonym wesela“, jak go nazywa Autor czwartej Ewangelji. Urząd ten należał tam zwyczajnie do ojca oblubieńca, względnie oblubienicy, jeśli u niej odbywało się wesele. Dlatego niektórzy krytycy utożsamiają „przełożonego wesela“ (*τὸν ἀρχιτρικλίνον*) z Kany z przełożonym uczty (*ὁ ἡγούμενος*) z księgi „Mądrość Syracha“ (Syr. 32, 1—3), który miał także opiekować się gośćmi i po ich zaopatrzeniu miał się położyć przy stole, by cieszyć się razem z nimi. Podobnym do niego był grecki „*συμπόσιαρχος*“, którego ucztujący wybierali, by również czuwał nad porządkiem i karnością w czasie uczty. — „*Ἡγούμενος*“ zatem i „*συμπόσιαρχος*“ są uczestnikami uczty, gdy tymczasem „*ὁ ἀρχιτρικλίνος*“, zdaje się, nie brał udziału w uczcie i temsamem nie mógł być identycznym z „przełożonym uczty“ u Syracha.

Ostatecznie przyjąć trzeba na podstawie Talmudu[10]), że podczaszy z wesela w Kanie Galilejskiej otrzymał oprócz nadzoru nad służbą, także zlecenie, by opiekował się stołem, ławkami i poduszkami w sali godowej. Zdarzały się bowiem wypadki w Judei, a zwłaszcza w Jerozolimie, że kucharz brał odpowiedzialność za potrawy, napoje i porządek w czasie uczty i w razie jakichś niedokładności pociągano go do odpowiedzialności.

Nadmieniliśmy poprzednio, że napływ gości w czasie wesela w Kanie był tak wielki, iż w którymś dniu nie stało wina. Z kłopotu wybawił biesiadników na prośbę Swej Matki Pan Jezus. Kazał bowiem napełnić 6 stągwi kamiennych, w których była woda rytualna, powtórnie wodą i przemienił ją w dobre wino (Jan 2, 6—10).

Woda rytualna była konieczną przy każdej uczcie, a tem bardziej na weselu. Każdy bowiem izraelita był obowiązany obmyć ręce przed jedzeniem i po jedzeniu i czasami także podczas jedzenia, lecz to ostatnie nie było obowiązkowem. Zwyczaj ten wyprowadzali talmudyści od króla Salomona[11]) i uważali zaniedbanie tych czynności za wielki występek przeciw „ustawom starszych“ (Mt. 15, 2). Z tego też powodu gorszyli się Faryzeusze, gdy uczniowie Chrystusa nie myli rąk przy jedzeniu (Mt. 15, 2; Mk. 7, 3).

Woda, służąca do obmywania rąk, musiała być rytualnie czystą. Dlatego przechowywano ją w dzbanach kamiennych (kulta, *ὑδρία)* a nie glinianych, gdyż w tych ulegała rytualnemu zanieczyszczeniu[12]).

Każda stągiew (dzban) miała według wyrażenia św. Jana Ewangelisty (Jan 2, 6) dwa lub trzy wiadra, w tekście greckim „*μετρήτας*“. Według Flawjusza[13]) zawierał attycki (grecki) metretes 6 hin (*εἶν*), co się równało 72 logom. Jeden log wynosił 0,547.125 litra, z czego wynika, że jeden metretes = 72 logom = 39·393 litrów. Jedna zatem stągiew mogła mieć wody na weselu w Kanie Galilejskiej od 80 do 120 litrów[14]).

Gdy przyjmiemy, że w jednej stągwi było przeciętnie 100 litrów i że wszystkie naczynia były już wypróżnione z wody oczyszczającej (Jan 2, 6—7), to możemy nabrać wyobrażenia, ile osób mogło się przesunąć przez salę godową, jeśli ilość wylanej wody na jedną parę rąk wynosić musiała według przepisów rytualnych $^1/_4$ loga, czyli 0.137 litra, t. j. około pół szklanki wody.

Trzeba również pamiętać, że rytualne mycie rąk nie było zwyczajnem myciem w naszem znaczeniu, lecz raczej polewaniem wodą obydwu rąk od przegubu do palców. Mógł zaś polewać talmudysta swe ręce przy pomocy małego naczynia, które trzymał między kolanami, albo w łokciu ręki. Ponieważ czynność taka była niewygodną, więc polewano sobie ręce wzajemnie. Gdy była większa ilość gości, wówczas ustawiali się wszyscy w szereg, wyciągali ręce i kilku ludzi polewało je wodą rytualną, która spływała na ziemię albo do jakiegoś innego naczynia. W ręce nie wolno było mieć wówczas żadnego przedmiotu i trzeba było sobie uświadomić, że się ma stać czystym, w myśl słów Pisma św.: „Uświęcajcie się, a bądźcie świętymi“[15]) (Kapł. 20, 7).

Z wymienionych ustępów talmudycznych i z Ewangelji św. Jana (Jan 2, 1—10) wynikałoby, że w ucztach weselnych w Kanie Galilejskiej wzięło udział ponad pięćset osób. Stąd nic dziwnego, że wina mogło zabraknąć i Jezus też hojnie ten brak swą wszechmocą uzupełnił.

X. dr. Józef Dajczak.

---

[5]) Zob. Terumoth 11, 10; Kethuboth 7b; Moed Katan 28b; Pesachim 7, 13 (I. str. 514).

[6]) Zob. Berakhot 30b (I, str. 516).

[7]) Zob. Sukka 25b (I, str. 517).

[8]) Zob. Pohle Joseph, Lehrbuch der Dogmatik. III. B. Paderborn 1922, str. 244—245.

[9]) Zob. Baba Bathra 93b (II, str. 408—409).

[10]) Zob. Berakhot 4, 10 (9a) II, str. 408.

[11]) Zob. Szabbath 14b; Berakhoth 53b; Chullin 107b, 105a (I, str. 695—697).

[12]) Zob. Kelim 10, 1 (II, str. 405—106).

[13]) Zob. Joseph. Antiq. 3, 8. 3, 9. 4 (II, str. 407).

[14]) Zob. Menachoth 7, 1. 89a (tamże).

[15]) Zob. Jadaim 1,1. 1,2. 1,5. 2,2. 2,3; Berakhoth 53b (I, str. 697—699).

Sprawy religijne

Kościół katolicki w Chinach w pierwszem dziesięcioleciu Piusa XI. W dobie dzisiejszej ma Kościół katolicki w Chinach 17 misyj, powierzonych klerowi krajowemu, t. j. 10 wikarjatów i 7 prefektur apostolskich. Jest tam 10 biskupów wik. ap. krajowców i 1 sufragan w w Kantonie. Misje te liczą razem około 400.000 katolików (w r. 1931 było ich 391.000), czyli mniej więcej szóstą część całej ludności katolickiej w Chinach. Stosunki obecne są w Chinach bardzo ciężkie, a zwłaszcza wielkie zniszczenie szerzy komunizm, którego władze nie umieją lub nie chcą poskromić. Oto w jednej prowincji Hupeh (jak donosi „Journal de Chang-haj" 22. stycznia r. b.) zamordowano 164.551; — zaginęło 946 tysięcy; zabrano w niewolę 78.000; domów spalono 300.000; szkód materjalnych wyrządzono na 500.000 (mniej więcej) dolarów. — O prowincji Kiangsi pisze X. Wieger, że zabito tam 150.000 ludzi, spalono 100.000 domów, uciekło zaś z kraju półtora miljona pozbawionych wszelkiego mienia. Z 81 prefektur, na które podzielona jest ta prowincja, 37 opanowali komuniści, a w 38-u dokonywali rabunków i zniszczenia.

Jednakowoż misje nietylko nie zniknęły w Chinach, ale rozwijają się pomyślnie. W r. 1919 było tam katolików mniej niż 2 miljony, a w r. 1931: 2,500.000. Liczba okręgów misyjnych wzrosła w tym czasie z 50 na 115. Misyj powierzonych klerowi krajowemu nie było w r. 1919 wcale, teraz jest 17. Liczba instytutów zagranicznych, pracujących w Chinach, wzrosła z 11-u na 26; liczba kapłanów Chińczyków z 690 na 1.504, seminarzystów z 2.854 na 5.719. Nadto pomnożyła się bardzo znacznie ilość zakonnic, szkół katolickich, dzieł miłosierdzia i t. d.

Ale nie można zmierzyć cyfrowo ogromnego postępu, którego dokonano w metodach ewangelizacji, w stosowaniu wiernem norm papieskich. W r. 1919 było bardzo niewielu alumnów Chińczyków w Kolegjum Propagandy, teraz jest ich czterdziestu. Myśli o mianowaniu w najbliższym czasie biskupów krajowców, o akcji katolickiej świeckich w Chinach, o uuniwersytecie katolickim w Pekinie uważało wielu za pomysły niemądre; dziś te fantazje są urzeczywistnione i wogóle można przepowiadać katolicyzmowi w Chinach przyszłość świetlaną.

OO. Bernardyni w Łodzi. W święto Chrystusa-Króla, 30. października b. r. odbyło się uroczyste poświęcenie i oddanie służbie Bożej nowowybudowanej, publicznej kaplicy św. Elżbiety na przedmieściu „Doły" w Łodzi. Poświęcenia dokonał JE. X. Biskup Tymieniecki w asystencji kleru diecezjalnego i kilku OO. Bernardynów, przy udziale około 2.000 wiernych. W serdecznem przemówieniu, z prowizorycznej ambony, uzasadniał X. Biskup potrzebę osiedlenia się w Łodzi Zakonu św. Franciszka z Asyżu, czego i sam dawno sobie życzył i lud roboczy miasta Łodzi pragnął. Wzruszenie ogarnęło obecnych, kiedy Arcypasterz w serdecznych słowach witał OO. Bernardynów, błogosławił ich zbożnej pracy i życzył jak najpiękniejszego rozwoju na tem miejscu. Pierwszą Mszę św. po ceremonji poświęcenia odprawił O. Cyprjan Jurkiewicz, Prowincjał OO. Bernardynów, po której pierwsze kazanie tamże wygłosił O. Bronisław Szepelak, kustosz lwowski. Budowę prowadzi i duchowną pracę zaczyna tamże O. Anastazy Pankiewicz, sekretarz prowincji. W przyszłym roku zacznie się budowa klasztoru, a kiedyś dużego kościoła, ze stacjami Męki Pańskiej.

Otwarcie Seminarjum Zagranicznego. Seminarjum Zagraniczne, wspaniałe dzieło J. Em. X. Kardynała-Prymasa, Dostojnego Protektora wychodźtwa, rozpoczęło, jak wiadomo, już z dniem pierwszego września r. b. swoją działalność w Potulicach, w pałacu, darowanym na ten cel przez p. hr. Anielę Potulicką. Przygotowuje się tam 21 kandydatów zebranych z całej Polski, na przyszłych duszpasterzy oraz 17 kandydatów na pomocników misjonarzy. Rektorem Seminarjum jest X. Posadzy. Dnia 15. października r. b. kandydaci do stanu kapłańskiego, po krótkim postulacie rozpoczęli swój nowicjat, gdyż Seminarjum Zagraniczne zorganizowane jest w ramach zgromadzenia zakonnego. Niezapomniane to były chwile, kiedy 21 wybrańców Bożych ofiarowało we wspaniałej potulickiej świątyni swe siły i życie całe dla tych, co poza granicami Polski żywot wiodą tułaczy. Po rocznym nowicjacie odbędą się pięcioletnie studja filozoficzno-teologiczne w Gnieźnie i Poznaniu, poczem młodzi kapłani wyruszą do poszczególnych placówek polskiego wychodźtwa. Oby to Seminarjum, które Ojciec św. nazywa „dziełem opatrznościowem i pożytecznem i dlatego swemu sercu tak bardzo bliskiem", rozwinęło się jak najwspanialej na chwałę Boga i dla dobra naszej ukochanej rzeszy wychodźczej. Całe społeczeństwo katolickie winno poprzeć zbożne dążenie tego wielkiego dzieła misyjnego Polski. Ofiary należy kierować do P. K. O. Nr. 202.454.

Przegląd czasopism

(„Osservatore Romano" o zasługach faszyzmu.—Polska a Watykan. — Nie ośmieszać siebie i idei).

Z okazji dziesięciolecia faszyzmu „Osservatore Romano" zamieszcza bardzo znamienny artykuł, w którym wylicza zasługi faszyzmu na polu religijnem i moralnem. Artykuł zaznacza na wstępie, iż dzięki faszyzmowi zmienił się stosunek obywatela włoskiego do Kościoła. Stosunek ten z wrogiego stał się przyjaznym. Sprawił to Mussolini swemi mowami, w których zawsze zaznaczał swój podziw dla katolicyzmu i stwierdza, iż to, co ludzkie, nie przewyższy tego, co boskie. Ale Mussolini nietylko mówił, lecz i działał. Jego zasługi ściśle religijne: wprowadzenie krzyży do szkół i sądów, wznowienie nauki religji w szkołach; zasługa wiekopomna na polu kościelnem: pakt lateraneński; nadto szereg zasług na polu moralnem i społecznem: obudzenie zapału i woli pracy, rozwój rolnictwa, przemysłu, kultury, opieka nad dzieckiem, czuwanie nad rodziną, ochrona czci kobiecej, oczyszczenie języka z bluźnierstw i t. d. i t. d. Wszystko to sprawia, iż pomiędzy katolicyzmem a sferami państwowemi we Włoszech panuje „una serena atmosfera di sincera concordia", czego dowodem była ostatnio inauguracyjna uroczystość uniwersytetu katolickiego w Medjolanie, w której obok dostojników Kościoła, brali udział reprezentanci włoskich władz cywilnych i wojskowych.

* * *

„Gazeta Warszawska" zaznacza, że rola Polski i wpływy polskie w życiu katolickiem dzisiejszem nie odpowiadają bynajmniej ani sile liczebnej narodu polskiego, ani naszej wiekowej tradycji jako przedmurza chrześcijaństwa. Nasze wpływy w polityce watykańskiej mniejsze są, niż trzykrotnie słabszego od nas liczebnie narodu irlandzkiego.

Przyczyna zła leży w wielkiej mierze po naszej stronie: jest nią niedostateczna aktywność, niedostateczna prężność żywiołu katolickiego w Polsce. W ru-

chu umysłowym katolickim, tak żywym obecnie na Zachodzie, myśl polska nie bierze niemal żadnego udziału. Ale trudno! Nie stworzy się na obstalunek polskiego Chesterton'a, Belloc'a, Maritain'a czy Papini'ego!...

W międzynarodowych organizacjach katolickich o charakterze społecznym, kulturalnym i t. p. — bierzemy za mały udział, słabszy niż katolicy węgierscy, czy holenderscy, wskutek tego nie mamy tam takiego znaczenia jak Węgrzy i Holendrzy, nie mówiąc już o Niemcach. W dodatku nasza „propaganda" oficjalna wywołuje od czasu do czasu międzynarodowe skandale. Oto np. ostatnio

Dr. Rajchman, piastujący z ramienia Polski wysoki i intratny (57.000 franków szwajcarskich rocznie) urząd szefa sekcji higjeny w stałym sekretarjacie Ligi Narodów, wyzyskuje to urzędowe stanowisko dla szerzenia propagandy, sprzecznej z podstawowemi zasadami moralności katolickiej. Zaleca mianowicie, w oficjalnem sprawozdaniu Ligi Narodów, ni mniej ni więcej tylko .. t. zw. „świadome macierzyństwo", stosowanie środków przeciwporodowych nietylko ze względów zdrowotnych, ale również „z powodów o charakterze osobistym i ekonomicznym". Przeciw tej urzędowej propagandzie reprezentanta Polski zaprotestowała prasa katolicka francuska, niemiecka, angielska, włoska, z „Osservatore Romano" na czele. Zaprotestował szereg organizacyj międzynarodowych katolickich. Na wniosek przedstawiciela Irlandji, popartego przez delegatów Włoch, Belgji, Holandji i Luksemburga, Liga Narodów postanowiła wycofać raport dra Rajchmana i usunąć zeń zdania, obrażające moralność katolicką. Zaś delegacja Polski w Lidze nietylko nie przyłączyła się do opisanego wyżej protestu państw katolickich, ale czyniła największe (choć bezskuteczne) wysiłki, by po tem wszystkiem dr. Rajchmanowi zapewnić awans na stanowisko jednego z podsekretarzy Ligi.

Trudno o fakt bardziej znamienny.

* * *

Nie wolno nam się ośmieszać, a zwłaszcza wobec młodzieży. Niestety, ma to zamiar uczynić miesięcznik sodalicyjny „Cześć Marji", w którym X. Stanisław Kostka Marianus zapowiada szumnie, iż „idąc za wewnętrznem natchnieniem", napisze i wydrukuje w miesięczniku sodalicyjnym „Pieśń o Królowej Naszej", aby w niej i przez nią nauczyć młodzież kochać Marję. Zaczyna autor od „Iwokacji", w której powiada:

„Bo to mój cel:
Jak Gabryel
Głosić Twą chwałę..."

Radzimy bardzo serdecznie na tej inwokcji skończyć i nie ośmieszać ni siebie, ni idei, którą autor chce reprezentować. *X. F. B.*

Z NASZEJ PRASY

Jak to pogodzić?

Wychodzi w Warszawie wielki dziennik, dobrze redagowany, stojący na wysokim poziomie kulturalnym i cieszący się zasłużonem uznaniem wśród społeczeństwa wogóle, a kapłanów w szczególności. Dziennik ten chce uchodzić za pismo katolickie i, rzeczywiście, w większości swych artykułów zajmuje szczerze katolickie stanowisko. Np. w sporze o obrządek wschodnio-słowiański odrzucił precz wszelkie kompromisy. Na uroczystość Chrystusa-Króla d. 30. października b. r. zamieścił artykuł wybitnego kapłana-publicysty p. t. „Postępy laicyzacji" — przeciwko odchrześcijanianiu życia publicznego w Polsce.

Dotąd wszystko jest dobrze...

Wobec takich poglądów zagadką nie do wytłumaczenia stają się następujące ogłoszenia (w numerze z dn. 30. X. jest ich 16-szesnaście):

„Wróży chiromantka-okulitystka—-jasnowidzenie, sugestja, wskazówki".

„Słynny jasnowidz-aryjczyk. Uczeń wielkiego Chudajarchana. Natchnione, stuprocentowo sprawdzalne przepowiednie. Okultyzm, daktyloskopja, karty. Pieniądz, miłość, praca, wygrane. Wszyscy wychodzą zachwyceni. Dwa złote".

Oprócz tych „wróżb" ogłoszenie Nr. 9754 poleca środki ochronne, zabronione przez Kościół.

Jak to pogodzić z programem katolickim i dążeniem do naukowości? *M. N.*

Nadesłano do Redakcji.

Leon Halban: Encyklika z dnia 15. maja 1931 o sprawach społecznych. Lwów 1932. Nakładem Tow. św. Piotra Skargi. Stron 29 dużego formatu.

„Orlątko". Pismo dla chłopców i dziewcząt polskich. (Poznań, Aleje Marcinkowskiego 22). Bardzo polecenia godny miesięcznik dla dzieci od lat 10—14. Prenumerata roczna 3 zł.

Salezjańskiego Zakładu Wychowawczego w Przemyślu 25-letnie dzieje 1907—1932. — In folio, str. 24. Jednodniówka barwnie i estetycznie wydana — o treści interesującej — z 36 rycinami (fotografjami).

Wiadomości diecezjalne

Diec. kielecka. Odznaczeni: X. Dembczyk Sylwan, magister św. Teologji, proboszcz w Koniecpolu, redaktor Gazety Tygodniowej, kanonją honorową Kapituły Wiślickiej. X. Grudziński Teofil, proboszcz z Cudzynowic, kanonją honorową Kapituły Wiślickiej.

Przeniesieni XX.: Prob. Adamski Roman z Dębna do Jerzmanowic; szamb. Adam Błaszczyk, poseł na Sejm, do Słomnik na proboszcza i dziekana; proboszcz Sowiński Stanisław, z Piasku W. do Dębna; wik. J. Nowak, pozostaje w Kijach; wik. Stefan Krzykawski, pozostaje w Rokitnie.

Mianowani XX.: Szamb. dr. Antoni Sobczyński, sekretarzem jeneralnym do spraw rekolekcyjnych w diecezji kieleckiej; prał. Jan Krzakowski, obrońcą węzła małżeńskiego; Jan Śliwakowski, proboszczem w Korytnicy; Zygmunt Madej, proboszczem w Sancygniowie; Walery Kozłowski, proboszczem w Cisowie.

Diec. chełmińska. Instytucję kanoniczną otrzymali XX.: Feliks Żelewski z Koronowa na beneficjum w Ryńsku; Stanisław Chylarecki z Ryńska na beneficjum w Koronowie.

Diec. płocka. Przeniesieni XX.: Dr. Jan Więckowski, prob. par. Kroczewo, na prob. w Małużynie; Piotr Bytof, prob. w Małużynie, na prob. par. Kroczewo, X. Aleksander Wielgolaski, wik. par. Lubiel, delegowany do pomocy X. proboszczowi w Obrytem.

Diec. śląska. X. radca Wilhelm Walliczek, profesor religji i spirytualny w zakładach SS. Boromeuszek w Cieszynie, przeszedł w stan spoczynku. Jego miejsce objął X. Paweł Lubina, dotychczasowy wikary w Król. Hucie.

DROBNE OGŁOSZENIA

Ksiądz emeryt profesor gimn. poszukuje kapelanji zakładowej lub prywatnej. Nadaje się też na wychowawcę i bibljotekarza. Posiada język polski, niemiecki, łaciński i grecki, słabiej francuski i włoski. — Oferty jak najbardziej szczegółowe do „Gazety Kościelnej“ pod „Kapelanja“.

Organista z należytą kwalifikacją szuka posady. Miejscowość obojętna. Tadeusz Kisała w Zubrzy, p. Sichów k/Lwowa. 3—3

Kapelanja w Strysz wie (koło Suchej, diecezja krakowska) zaraz do objęcia. Wiadomość u SS. Zmartwychwstanek, Pijarów 31, lub ul. Krupiarska 1.

Kapłan ofiaruje usługi. Gazeta Kościelna „Job“. 1—3

Zakładam dochodowe pasieki. Iwanicki, Pustomyty k/Lwowa. 1—3

W Domu Księży we Lwowie, przy ul. Murarskiej 49 jest do wynajęcia od 1 grudnia b. r. pokój z przedpokojem.

Wydawca: Tow. „Bibljoteka Religijna“. Odpow. redaktor: X. Dr. Pechnik
Drukarnia Tow. „Bibljoteka Religijna“, Lwów, ul. Zygmuntowska 4.